№ 8.

WARSZAWA

d. 12 (24) lutego

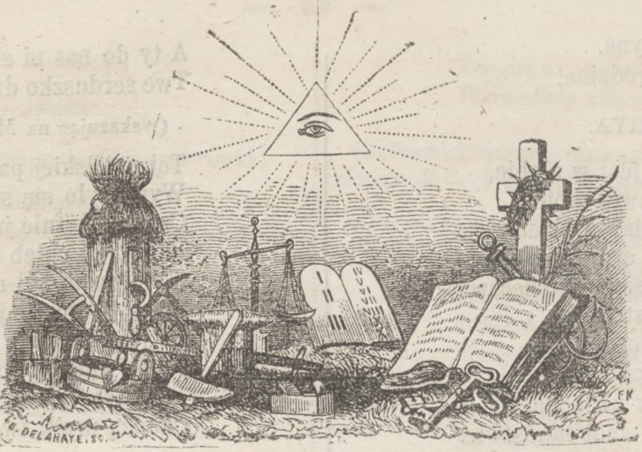
1861.

REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnej

Nr 1527.



„*Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.*“
(Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Pierwszym krokiem, jaki się robi wstępując na drabinę, jest to, że się porzuca ziemię; podobnie i w dziedzinie religii pierwszym stopniem podniesienia się jest porzucenie złego. (Śty Bazyli.)

SZOPKA.

V.

—

(Matka Boska uchyliwszy płaszcza, pokazuje twarz Jezusa żebraczce, ta przez chwilę się wpatruje, potem upada na kolana i śpiewa:)

KOLĘDA.

Wyglądany od sieroty
Zbawicielu witaj złoty!
Puste dla niej są tu kraje...
Weźmiesz ją, gdzie ból ustaje.

Spłakałam się na obczyźnie,
Uraduję się w ojczyźnie
Z Tobą święty oblubieńcze,
Com ci wiła na skroń wieńce.

Chocieś Ty jest król niebieski,
Na kolebkę nie masz deski;
Wół z osiełkiem się litują,
Cząstkę żłobu Ci darują.

Nie masz na czem głowy złożyć:
Co bydlątka miały spożyć
Pachnącego garstkę siana,
Ustępują też dla Pana.

Wiatr szparami zimny wieje,
Wątłe ciałko Ci sinieje,
Wół z osiełkiem parą ciepłą
Z nozdrzy, grzeją Ci twarz skrzepłą.

To Ty, co świat utrzymujesz,
Miłosierdzia potrzebujesz
Od osiełka i od woła,
A nie przykrzysz sobie zgoła.

A ja robak, proch mizerny,
Z pychy czułam ból niezmierny,
Że od ludzi żebrać trzeba
Dachu, szmatki, kęsa chleba.

O! poprawię się już Panie!
Twoje ze mną porównanie
Wszystkie rany mi zgoiło,
Jakby nigdy nic nie było.

(Żebraczka powstaje, bieży do nóg Matki Boskiej i z płaczem woła:)

O Ty, matko serdeczna!
Cześćże Tobie, cześć wieczna,
Żeś sierotę zbolałą,
Zanękaną, nieśmiałą

Ośmieliła do syna...
O szczęśliwa godzina!

MARYA.

Gdyby ten, co jest w żłobie,
Łaski nie dał swej tobie,
Mój głos brzmiałby daremnie...
Jemu dziękuj, a nie mnie.
Pragniesz mu się wywdzięczyć?
On ci może nastręczyć
Nieraz porę sposobną,
Byleś mu być podobną
Chciała, jako w ubóstwie,
Tak i w innych cnót mnóstwie.
A błagam cię sieroto,
Wespół z Bogiem tym o to:
Strzeż się piekła ucieszyć...
Lepiej umrzeć, niż zgrzeszyć.

ŻEBRACZKA.

Niechże mię Bóg obrania
Do samego skonania!

(Klęczy jeszcze przez chwilę przed Matką Boską, a królowie tymczasem rozmawiają między sobą, jakoby zcicha:)

KRÓL KACPER.

Trzeba jej dać jałmużnę.

KRÓL BALTAZAR.

Ja kieszenie mam próżne,
Bo prócz złota bryłeczki,
Com włożył do skrzyneczki
Wraz z darami waszemi,
Nie wyniosłem z mej ziemi
Ani nawet grosiczka.

KRÓL MELCHIOR (wyciągając rękę ze złotem.)

Nie zawadzi pożyczka.

KRÓL BALTAZAR (odsuwając rękę ze złotem:)

Niech nagrodzi Bóg tobie
Chęć; ja wiem już, co zrobię...

MARYA (sama do siebie obejrzawszy się na królów:)

Mówią coś o jałmużnie,
Modliłam się niepróżnie.

(Tymczasem żebraczka powstaje od nóg Matki Boskiej, a pragnąc znowu w kąt się oddalić, przechodzi tuż obok króla Melchiora, ten ją zatrzymuje i mówi:)

Wiem już z twego wyznania,
Żeś za nami szło dziecię,
By jałmużnę wziąć przecię;
Jałmużna jest gotowa,
A ty do nas ni słowa.
Twe serduszko dziecięce,

(wskazując na Matkę Boską)

Tej anielskiej panience
Wynurzyło się szczerze,
Czemu chętnie ja wierzę,
Iż ci twój chleb żebrany
Z piołunem był mieszany,
Boś z litości go jadło.
Co jest z pychy, upadło,
Jakto widzę z kolędy,
Teraz nie wiem, którędy
Chodzą myśli twe dziecię!

(Na chwilę umilkł, potem żartobliwie dokończył:)

Niechże ci się nie wplecie
W serce inna dziś wada,
Zazdrość... owa szkarada!

ŻEBRACZKA.

Podobieństwo z Jezusem
Zrobiło mię Krezusem: (*)
Nad perełki, kamienie
Dziś ubóstwo me cenię.
Szczęśliwam jest jak w niebie,
Zapomniałam o chlebie
I o wszystkiej marności;
A co do tej zazdrości,
Nie rozumiem cię panie!

KRÓL MELCHIOR.

Ej! to żart był, kochanie!

(Matka Boska spuściła głowę, przyłożywszy rękę do czoła jakoby w zamyśleniu i rzekła do króla:)

Niech król objaśnić raczy,
Co ten jego żart znaczy?

KRÓL MELCHIOR (do Matki Boskiej.)

Ja się wstydzę, żem sobie
Żarcik zrobił przy żłobie.
Wolałbym już przeprosić
Boga, i nic nie głosić.

MARYA.

Kiedy błąd swój kto widzi
I za niego się wstydzi,
To mu Pan Bóg przebaczy.

KRÓL MELCHIOR.

Ośmielasz mnie Maryo...
Rzeczywiście się kryją
W żarcie myśli poważne..

(*) Król jeden z najbogatszych w starożytności.

MARYA (do żebraczki.)

Dzięcię! bądźże uważne.

KRÓL MELCHIOR (zwróciwszy się do żebraczki:)

Tyś podobna do Boga
Przez to, żeś jest uboga.
Ja mam ziemie, pałace,
Wielkie hufce wojsk płacę
Dukatami ze skrzyni...
To różnicę też czyni
Pomiędzy mną a Bogiem.
Zbyt to dla mnie jest srogiem!
Boga muszę zbogacić,
By różnicę zatracić.
W twej go widzę osobie,
Więc chcę wsparcie dać tobie.
Nie przyjmujesz jałmużny,
Jakbyś chciała, by próżny
Był mój zamiar jedyny,
Byś do Boskiej dzieciny
Sama była podobna.

ŻEBRACZKA.

W mowie małom sposobna,
I niemocna w rozumie,
Lecz me serce czuć umie,
Co powiedzieć chcesz Panie!
Niech się jako chcesz, stanie.

(Król Melchior wsypuje żebraczce złoto w nadstawioną torbę. Jednocześnie przybliża się król Kacper i mówi do żebraczki:)

Są powody nieprżne,
Byś odemnie jałmużnę
Przyjęła też łaskawie.
Snem to wyda się prawie,
Co ci powiem... że w niebie
Miejsca zyskać bez ciebie
Nie potrafię ja sobie...
Tę zagadkę przy żłobie
Łatwo pojmiesz niebogo:
Jaką miarką ja Bogu,
Taką Bóg mi odmierzy.
Niebo się nie należy
Mnie, bo wkupić się trzeba
Mnóstwem cnoty do nieba.
A jam w cnotę ubogi,
A mnie ciąży dług mnogi,
Bom uczynił złość różną...
Więc niebo jest jałmużną,
Którą Bóg mi da za nic,
Z miłosierdzia bez granic.

(Umilkł na chwilę. Tymczasem Matka Boska rzekła sama do siebie:)

Wyraźnie to coś będzie
Z tych słów moich w kolędzie:

Kto czyni jałmużnę,
Temu niebo dłużne.

(Żebraczka milcząc, nadstawia torbę i znów chce się schronić do kącika; ale król Baltazar ją zatrzymuje i mówi:)

Moja żona jest chora,
Przy niej córka już spora
Pozostała, i dziatki
Drobne strzegą też matki.
Wszyscy rzewnie płakali,
Gdy mię w drogę żegnali,
Że nie mogą iść ze mną
Na zabawę przyjemną
Z Messyaszem w stajence.
Łzami rosząc mi ręce,
Wśród gęstego całusa
Prosili, bym z Jezusa
Zdjął choć jaką szmateczkę;
A nie, to choć niteczkę
Z powijaka uzyskał.
Bogu łzybym wyciskał
Nowe, gdybym z płatuszków,
Co mu i tak paluszków,
Nóżek objąć nie mogą,
Wziął co; rzeczą też srogą
Poczytałbym, dla nitki
Znów rozwijać te zwitki,
Co tak zręcznie Marya
Dziecię niemi obwija;
Nie pozwolę więc sobie.
Lecz ja lepszą rzecz zrobię...
Chciałbym.., a gdy nie mogę
Boga z żłobem w swą drogę
Wziąć... inaczej zaradzę...
W mój dom ciebie wprowadzę
Udręczona sieroto,
Przebolała tęsknotą!
Chora żona i dzieci,
Wszystka świta się zleci.
Nie widzieli we żłobie
Boga... ujrzą go w tobie;
Powiem: oto go macie!
Ni w bogatszej jest szacie,
Ni ma lepsze ogrzanie,
Ten, co leży na sianie.
Dopieroż się ucieszą!
Z usługami pośpieszą:
Nakarmią cię, napoją
I kalectwo zagoją.

(Żebraczka spuściwszy głowę, przykłada rękę do czoła, jakoby w zamyśleniu. Tymczasem Matka Boska mówi sama do siebie:)

Łaskę boską czuć wszedy,
Toć to z mojej kolędy:

Sieroteńka w domu,
Jako Bóg jest komu.

ŻEBRACZKA (jakoby po na myśle.)

Ani mógę ja wiedzieć,
Co mam na to powiedzieć.
Gdy z tułactwa i nędzy
Przyjdę do tych pieniędzy,
I zamieszkam pałace,
Naraz wszystko utracę
Podobieństwo do Boga.
A nareszcie, jak droga
Matka moja Marya
Postanowi, tak i ja.

MARYA.

Lube moje kochanie!
Za twe we mnie ufanie
Ja dziękuję ci czule.
Gdybyś jednak w szczególe
Najdrobniejszym pojęła,
Com już tobie rzeknęła,
Przed chwilą o cnót mnóstwie,
Czułabyś, że w ubóstwie
Dajeć Jezus ten złoty
Prostą drogę do cnoty
Onej, która przy skonie,
Gdy się wszystko rozwionie,
Gdy uczynki ustaną,
Z cnót zostanie wybraną,
Jako pełność ziarn z kłosów,
By w światłości niebiosów
Sama trwała przez wieki,
Co popłyną jak rzeki...
A *miłość* jest tą cnotą?
Lecz nim tobie sieroto!
W przykładzie ją tu wskażę,
Pierwej z tobą rozważę,
Czy jest słuszna ta trwoga,
Że nie będziesz uboga,
Kiedy pójdziesz do króla.
Słuchaj... póki otula
Cię sieroca pokora,
Nikim gardzić nie skora,
Póki twoją pieszczotą
Będzie Jezus, nie złoto,
Póki będziesz gotową
Z *woli bożej* znieść nową
Nędzę, żebrać na jadło,
Gdyby ci tak przypadło;
Póki równo ci wszystko:
Być robaczkiem na listku,
Źdźbłem, z którem się wiatr bawi,
Lub królową, co stawi
Milion wojsk na polu...
Byle zgodnie z tą *wolą*;
Póty, choćby przy tronie,
Choćby nawet w koronie,
Lub wśród bogactw Krezusa,
Podobnaś do Jezusa.
Wszak i Jezus ma światy,
Jednak nie jest bogaty
Jako ziemscy bogacze;
Bo na życie tułacze
Zszedł do żłobu nędznego
Z woli ojca swojego.
Teraz wróćmy do owej
Cnoty, wszech cnót królowej.

(Na chwilę umilkła, jakoby namyślając się, od czego ma zacząć dalszą mowę. Potem wskazała na żłób i rzekła:)

Oto Jezus!.. chcesz taką
Być?.. To dobrze!.. więc jako
Kropelka do kropelki,
Tak ty *proch* i On *wielki*
Podobni się staniecie,
Jeśli sprostasz mu dziecię,
W tej miłości, dla której
W potop nędzy zszedł z góry...
Oj nie sprostasz!.. usiłuj,
Choć nie sprostasz.. więc miłuj!
Dobrym sercom radości
Z pokazania miłości
Nie wydzierać, to także
Jest miłością... więc jakże,
Wzgardzisz łaską królewską?
Toć i łaskę niebieską
Na swą głowę sprowadzisz,
Jeśli kiedy zaradzisz
Swoim bliźnim w ich biedzie,
Gdy jak w raju ci będzie.
Niech się wszystkie łzy twoje,
Co płynęły jak zdroje,
Naraz w kupę tu zbiorą,
Już z nich będzie jezioro.
Łzy słodziutkie i tkliwe,
Których w czasy szczęśliwe
Tylko z tęsknot do nieba
Sercu było potrzeba;
I łzy gorzkie, sieroce,
Ciężkiej nędzy owoce,
Byłyby w tym jeziorze.
Ale nie wiesz nic może
O łzach, które przez życie
Bodaj codzień obficie
Jako powódź płynęły,
O łzach, które błysnęły
Na źrenicy z wesela,
Że się komu udziela
Grosza, szmatki, lub chleba,
Gdy mu bardzo potrzeba.

Kiedyś była u matki
I zapukał do chatki
Dziadek, chleb mu wyniosłaś;
Ale z szczęścia nie rosłaś,
Jak urosłabyś teraz,
Kiedyś sama już nieraz
I namarła się głodu
I siniała od chłodu.
Żebyś taką łzę błogą
Uroiła, niebogo!
K'temu coś mi się marzy,
Wnet sposobność się zdarzy...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz.

—

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków.

— A dokąd to dążysz tak rano mój Wawrzku?.. słońce nie wstało, a ty już na nogach, chyba się już co nowego we wsi urodzi.

— Ej! to nic, mój chrzestny, tak jakoś niby sobie wylazłem.

— Przyznaj się jeno mój bracie, tak jakoś po nocy ludzie poczciwi nie łażą, ale tylko niecnoty szczęścia szukają.

— O! mój chrzestny. Otóż wam powiem prawdę, choć to bzdurstwo i mowy nie warto. Jakieś szkodniki wypasają mi łąkę po nocy, chciałem ich przypilnować i zafantować.

— Gadaj zdrów Wawrzku komu innemu, ja za stary, abyś mnie oszukał. Tybyś miał po nocy łąki pilnować, kiedy w czysty dzień twoja dziewka konie w niej pasie? Na to już nie dam wiary. A wszakże w przeszły tydzień sam ją widziałem i zwymyślałem; a ona gadała, że koniska dopiero nad rankiem na paśnik poszły, na pół głodne do południa orały. W domu nie ma garści ograbków ani zgoniny, aby coś podżarły, więc ona radząc sobie jak umiała, aby nędzne szkapska zasilić, wpędziła je na przypołudnie w łąkę.

— Oj, biednyż ja człek z temi babami! Łąkę wypasą, zboże wymarnują, one mnie do torby przyprowadzą. Skaranie boże! Już to moja tak rządzi: onaby rada, żeby szkapa tak zawsze ruszała pyskiem, jak ona miele językiem.

— Toż to wasza taka zła baba?

— Żebyć już tam taka i zła była, toć nie można mówić. Ale że namolna, to i diabeł nie zaprzeczy. Bywa w zimie, człek wróci nocą z furmanki, zmokły, ziębnięty, radby się dłużej wywczasować: kościska bolą, łeb jakoś cięży. A tu nad rankiem baba wrzeszczy jak opętana: A wstawaj próżniaku, wałkoniu! omłóć garść zboża, nie ma co dać bydłu, nie ma słomska, nie ma ziarna żyta na chleb, ani mąki łyżki na barszcz. Wstawaj, bo nam bydlisko z głodu pozdycha; już wstawać nie chcą jeno je z Magdą dźwigamy!

Chcąc nie chcąc, aby babę uciszyć, wyłażę z wyrka, a ona znów zaczyna: A dawaj taki owaki pieniędzy na sól, bośmy wczoraj bez soli jedli. Ja się jej sumituję, że nie mam grosza przy duszy, a ona wymyśla, czemu od żyda pieniędzy za furmankę nie wziąłem. Ona myśli durna baba, że człek nie ma ambitu i da zaraz poznać, że nie ma na sól. Jać przecie nie taki.

A bodaj cię wciurnasek z twoją ambicyą! Wstydzisz się przed żydem; nie wołasz o pieniądze, choć ci się słusznie należą—a nie wstyd cię, nie żal, że żona i dzieciska mrą głod, jakby sieroty uliczne? Wysługujesz się żydom, a to biedactwo coć ci Bóg powierzył, oddajesz na pastwę głodu i nędzy. Dobry z ciebie gospodarz, a lepszy jeszcze mąż i ojciec.

— Niechże tam i tak będzie, żem ja winny, boć i siła złego na jednego. Wiem ci to dokumentnie, że ona mnie przed wami szkaluje. Aleć i ja pewnie krzyw, że jej się len wypalił; a toć i mój jęczmień, ba i owies toż samo zróbiły. Ja wiem, że zamiast żyta miotła mi się urodziła, że wiatr stodolisko obalił, że najlepszą kobyłę wilki pożarły. Ja wszystkiemu krzyw. A wszak to ciężkie dopuszczenie boże, o którem sami słyszeliście, jak jegomość w kościele pozawczoraj prawił. Może nieprawda? A i za to moja jędza łeb mi suszy. A cóż na to powiecie?

— A cóż ci mam na to powiedzieć, okrom tego, że aż brzydko słuchać, iż wszystko złe, bo to następstwa próżniactwa, niedbałości, ba nawet opilstwa. Człowiek niewdzięczny za tyle dobrodziejstw boskich, obraża najlepszego,

najczulszego ojca, co zanim stworzył robaczka, obmyślił mu pierwej żywność i schronienie, ptaszkowi kazał gniazdko miękkuchne dla piskląt budować, a dla ziarneczka nawet w zawiązku śliczne usłał łóżeczko. A tobie zły rolniku winien los, żeś nie zorał na żyto jak potrzeba, żeś miałkie brał skiby, nie wyorał należytych brózd i nie powyrzucał przegonów? Wszak drudzy obok ciebie tęgie żyta mieli. Któż ci kazał siać jęczmień i owies, kiedy te już u ludzi ziemię przykryły i upały letnie łatwiej wytrzymały? Któż ci także doradził, abyś na len prawie kopyskał, co aż się ludzie naśmiewali i próżnoś ziemię utracił. Któż ci wzbraniał podeprzeć stodołę, kiedy się od starości trochę na bok była pochyliła, a kazał puszczać na noc samopas koniska, aż się wilk zmiłował i pożarł jedno, aby dłużej nie marło głodu u takiego jak ty gałganiarza, a nie gospodarza? Pewnie i temu los winien, żeś idąc w nocy pijany jak sztok, upadł pod most i o kamienie głowę porozbijał? A gdzieś się tego nauczył? czy w kościele... hę? Pewnie u żydów, kiedy włócząc się, z niemi szabasy odbywasz. Lecz nie tak cię nauczała matka, pobożna białogłowa, nie tak pokazywał poczciwy rodzic.

— Gadajcie co chcecie mój Stanisławie, a choć ja już taki ostatni jak mówicie, to się spodziewam, że się z biedy wygrzebię i jakoś jeszcze dorobię. Zobaczycie Stanisławie! zobaczycie.

— Dorabiaj się Wawrzku, dorabiaj, życzę z całego serca. Lecz pamiętaj sobie, że kto pokątnych krzywych szuka zysków, a nie idzie wedle Boga prawą drogą, w jakimkolwiek on jest stanie, nigdy się nie dorobi, bo nie sobie, lecz diabłu zbiera, i nieraz już tysiące, ba krocie nawet bies jak swoje naraz zacapi!

— Dajcie jeno pokój Stanisławie z tym pokuśnikiem, jać się ta do niego nie śpieszę. Ale widzicie, ja sobie tak myślę, że choć człek trochę z cudzego uskubię, byle tamten nie był krzywd, toć i nie taki grzech. Ale czekajcie! niechno ja swoje wypowiem. Nasz karczmarz ma na pańskiej oborze krowy, bo tak stoi w kontrakcie. Otóż pastucha dworski jak może się dorwać do stodół, to porwie ograbek, garść siana, ba i zboża w snopie i da krowom karczmarza. Krowy się wypasły i dają dobrze, a za to jak pastuch przyjdzie do karczmy, to wygoli jeden i drugi półkwaterek. Karczmarz ma się z tem dobrze, pastuch dobrze, a pan się nie zuboży. Znowu fornale jadą z wywózką do miasta, biorą zwyczajnie obrok na drogę; ale w mieście obrok Zysio kochany, lub jaki poczciwy człowiek kupi. Oni zacapią grosik, a pańskie szkapska zjedzą krzynę siana. I tak dobre, idą chwacko, jak im dodadzą bicza. Bać i furman pański od cugowych koni, to sam widziałem, jak obrok do domu kubłem wynosił świniom, a konie dlatego kieby spławy. To i cóż to szkodzi?.. widać, że bez tego mają dosyć. Toć i gospodarz od nas Grzela, to jak owies wiezie do miasta, a jeszcze na pewne, to zostawi w nim plew co nie miara, a i tak mu zapłacą. To cóż to wadzi, wszak każdy widzi, co kupuje. A i nas alboż to jeden krzywdzi, alboż na jednego człek pracuje?

— Hola bracie, hola! Zadaleko zajechałeś, widno zaraz z ciebie, że żydom furmanisz. A gdzie w twojej mowie Bóg, gdzie sumienie? a jaka mowa, taki i czyn będzie.

A ten, co daje ograbki, siano, zboże krowom karczmarza, dajeli on swoje, czy cudze? Gadaj człowieku, jak on robi?

— Ba, jušci cudze, bo swoich nie ma. Toć kradnie.

— A kiedy kto bierze cudze i wydaje, co on jest?

— A jušci tam złodziej.

— A fornale, co kradną obrok, a głodzą biedne koniska, co oni są?

— A dyć toż samo, co i pastuch dworski.

— A poczciwy i wierny furman?

— Toć złodziej jak i tamci.

— A twój gospodarz Grzela, to myślisz że jest lepszy?

— A jušcić przecie nie kradnie, toć nie złodziej, a choć zdziebko nie domierzy, to kto kupuje, może sobie i mierzyć.

— Powiadam tobie,ża i on nie lepszy. On oszukuje łatwowiernych, bo któżby sądził, żeby uczciwy gospodarz, za którego on się udaje, za owies plewy sprzedawał. Takie gałgany wszystkim uczciwym gospodarzom wstyd robią. Dawniej to każdy w mieście mówił: nasz chłopek nie oszuka, ma uczciwe ziarno i prędzej się garść nadmierzy, niż zabraknie. A teraz czy nam kto wierzy? A czemu? Bo często nieuczciwi gospodarze i zboża nie wywieją i źle odmierzą. Teraz jak człowiek przyjedzie do mia-

sta, to wstyd, jakie robią termedye: wglądają w miechy, grzebią do dna, a kiedy nie mają miary, to szukają choćby po całem mieście, a nie wierzą człeku jak cyganowi. A czy to nie sromota dla uczciwego gospodarza? Jabym sam tym szachrajom karku ponakręcał. Lecz dajmy już im pokój. Powiedz mi teraz miły Wawrzku, na co przyjdzie pastusze, kiedy prędzej czy później wyjdą na wierzch jego sprawki?

— A i na cóż mu ma wyjść? weźmie pan kija, wyźga starego w świat, on już do roboty nie zdolny weźmie torbę i pójdzie na chleb żebraczy.

— A nie wiesz też, co robią fornale z pieniędzmi za obrok, może chleba kupią?

— Ale chleba! Napatrzyłem się tego dowoli w mieście. Obrok przedali, pieniądze przepili, a opiwszy się, kłócą się i biją z sobą, kieby marne bestye. Potem się skarżą do wójta, a co się nie dobili, to jak im wójt dołoży, to aż im plecy popuchną.

— Furman pański, boć się pewno na świniach zbogacił?

— Ogniście toć się i zbogacił. Pasł ci je owsem, a potem aby się przeszły, wypuścił w same południe, i jakby ziemia się im rozstąpiła gdzieś przepadły. Latał, szukał, ale gdzie tam!.. ktoś poczciwy zajął i zabił. A może jak to powiadacie, bies zacapił i do piekła zagnał.

— Widzisz Wawrzku, na co wszystkim cudza krzywda wyszła. A jak za nią po śmierci przed Bogiem odpowiedzą, to Bogu tylko wiadomo. My zaś wiemy, że prawo Boskie i ludzkie zakazuje surwo kradzieży i za nią ostro karze. A co ty gadasz, że na kogo robisz, to bajesz, bo każdy na siebie robi. Pan tobie daje rolę, ty mu czynsz oddajesz, twoja dziewka daje ci swę pracę, ty w zamian dajesz jej wikt i zasługi. Krawiec szyje ci sukmanę, a ty mu płacisz, a on nie mówi, że na ciebie robi, tylko szyjąc, zarabia sobie pieniądze.

— Dość, dość mój Stanisławie. Jać tam nikogo nie kradnę i kraść nie myślę, krzywdy takoż ludziskom nie robię. Za to mnie Bóg karać nie będzie. Żeć tam człek zabiegnie trochę, nie widzę w tem nic złego.

— Oj nie zabiegaj pokątnie, bo ci powiadam, że sukman za taki grosz nabyty nie zagrzeje ci grzbietu, ale tak swędzić będzie, jakby czuł kij nad sobą. Nie przełkniesz za niego kupionej kaszy, bo ci gardłem wylezie. A pamiętaj, że żonę i dzieci nieszczęśliwe zrobisz.

— Dajcie mi tam już pokój. Jak mnie w dybach będą prowadzić, toć na was nie będę wołał o ratunek. Zostajcie z Bogiem.

— Idź z Bogiem.

—

— A słyszeliście też miły Stanisławie, co się dzisiaj w naszej wsi stało?

— Nie mój Antoni, siedzę w chałupie jak zakuty, boć moja chora.

— A dy naszego Wawrzka, dzisiejszej nocy żandarmy wzięli.

— Jezu Marya! a to jakim sposobem? gdzie? dlaczego?

— Zaraz wam powiem, jeno chwilkę odetchnę, bom się idący zakrztusił. Jakeście i wy pewno zauważyli, Wawrzek od pewnego czasu całkiem gospodarstwa zaniechał; widzieliśmy to wszyscy, że choć licho orze, mało zbiera i nie dosieje, jednak nie brak mu na chlebie: sukmanę ma porządną, widać grosiwo, a nawet często sobie podochoci. Jać tam na to nie przemądrzały, ale drudzy co słyszą, jak trawa rośnie, mruczeli, iż z żydami szachrował a szachrował, miał facyendy z niemi po nocach, i często w domu nie nocował. Otóż on podobno żydom towary przewoził, ktoś o tem powiedział żandarmom, więc oni zaczaili się i schwycili go dzisiejszej nocy; chciał im podobno zemknąć, ale go tęgo pilnowali i związanego przyprowadzili do wsi. Oj! co tam było lamentu, ryku w domu, jak go zobaczyła żona i dzieciska, to i opowiedzieć trudno! Dość na tem, że wszystko, co było w chałupie spisali i pod dozór wójtowi oddali. Jego zaś wzięli i gadali, że ma siedzieć długo w Brześciu. Mój Boże, takie gospodarstwo niecnota zmarnował, nie chciało mu się pracować, tylko lekko zarabiać i zarobił ci sobie, zarobił. On jak on, niech cierpi ciało, czego się chciało; ale te nędzne robaki, dzieciska za ojca gałgana cierpieć muszą. Szkódaż i Baśki, bo to była galanta dziewucha, dopóki za niego nie poszła, ale z nim i ona się opuściła, boć trudno, aby sama baba gospodarstwo utrzymać mogła. Wszystko już stracone. Ale cóż robić? myć im nie poradzimy. Jak sobie posłał, tak się wyśpi!

Wincenty Kadłubek.

—

Urodzony we wsi dziedzicznej Karwów z ojca Bogusława, matki Bogny. Po ukończeniu z chlubą nauk za granicą, wzięty został na dwór Fulkona biskupa Krakowskiego, i w krótce dla cnót i nauki został proboszczem Sandomierskim. Po Fulkonie zaś bez żadnych osobistych zabiegów, jednogłośnie od kapituły obrany biskupem Krakowskim, na co chętnie zezwolił Leszek Biały wówczas panujący w Polsce. Roku zaś 1207 przez Innocentego papieża w godności tej potwierdzony został, a przez Henryka Ketlicz arcybiskupa Gnieźnieńskiego niebawem konsekrowany. Na tym nowym urzędzie jaśniał cnotami, jakie winny zdobić sługę Bożego: wylany na pobożne uczynki, ubogą młodzież kształcił własnym kosztem, na godności kościelne obierał ludzi cnotliwych i mądrością zalecających się. Wśród tych byli dwaj bracia Odrowążowie, Śty Jacek, którego Klemens VIII w poczet świętych wliczył i Czesław uczczony przez Klemensa XII; z tych pierwszy przez Kadłubka był wyniesiony na godność kanonika Krakowskiego, drugi mianowany kustoszem Sandomierskim.

Gdy był proboszczem Sandomierskim Kadłubek, tyle mu ufał Leszek Biały, że mu córkę swoję poruczył, aby ją do Halicza mężowi przyszłemu Kolomanowi w charakterze posła odprowadził. Dopomógł on również temuż Kolomanowi do objęcia korony Halickiej i sam go na to królestwo namaścił i koronował. Biskup ten dbały był również o chwałę Boską, nie szczędził na pomnożenie onej, cały bowiem swój majątek rozdał na kościoły i klasztory, i wiele uczynił fundacyj i zapisów, jako to:

Pomnożył szczupły dochód kościoła Kieleckiego, założonego pod tytułem Matki Boskiej, dziesięciu prebendami, postanowiwszy, aby przed Najświętszym Sakramentem dzień i noc paliła się lampa. Klasztorowi Jędrzejowskiemu dwie wsie Czerników i Gajczów darował. Klasztorowi Koprzywnickiemu drugie dwie wsie ojczyste: Niekisiołki i Karwów przekazał, zagroziwszy klątwą synowcom, jeżeliby kiedy chcieli one odebrać. W kaplicy Sgo Stanisława w kościele katedralnym krakowskim lampę srebrną zawiesił, która tam przeszło lat pięćset gorzała.

Mąż ten zasłużony Bogu i krajowi nie tylko słynął cnotami, ale i nauką; był on bowiem napisał *Kronikę Polską* z polecenia króla Kazimierza Sprawiedliwego i dociągnął ją do r. 1202. Tak chwalebnie rządził dyecezyą lat dziesięć, lecz gdy razu pewnego piorun uderzył w katedrę Krakowską i wielkie szkody w niej zrządził, zrobiło to na umyśle jego tak wielkie wrażenie, że hojnie z funduszów własnych nagrodziwszy straty, sam złożył dobrowolnie infułę, i mimo że kapituła z trudnością na to zezwoliła, przywdział habit Cystersów za pozwoleniem Honoryusza IIIgo i w Jędrzojowskim klasztorze pierwszy z polaków został mnichem r. 1218 (*) gdzie zmarł dnia 8 marca 1223.

W kilka set lat po zejściu jego, Remigian Koniecpolski biskup Chełmski i administrator opactwa Jędrzejowskiego, przeniósł r. 1633 kości jego w miejsce osobne i okazalsze, a w trumnie ołowianej je złożywszy, uczcił murowanym nagrobkiem.

W r. 1634 Synod prowincyonalny w Warszawie o jego kanonizacyą Stolicę Apostolską upraszał, i dopiero Klemens XIII papież w poczet błogosławionych go wliczył.

(*) Janisław biskup Wrocławski z braćmi swymi r. 1140 Cystersów sprowadził z Morymundeńskiego klasztoru w Burgundyi i uposażył.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnie kop. 45—miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.— Wolno drukować.— Warszawa d. 12 (24) lutego 1861 r. Starszy cenzor, F. *Sobieszczański*.